

KRONIKA ZAGRANICZNA.

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Najnowsze publikacye niemieckie: „Elsass und Lothringen sind und bleiben unsern, von Wolfgang Mentzel. Elsass und Lothringen, und ihre wiedergewinnung für Deutschland, von prof. Dr. Adolf Wagner. Elsass und Lothringen, von Adolf Smith ord. prof. an der Uniwer. von Jena”.—Sławna Biblioteka Strasburska.—Margrabia de Pombal, przez Luiza Gomez.—Brewiarz króla pruskiego przez Juliusza Janin.—„En Autriche”, przez Ludwika Deprés.—Missya kobiety w czasie wojny, przez panią William Monode.—Dla ranych: scena dramatyczna E. Manuela.—Zmarła księżniczka Amalia, siostra króla saskiego.

Stało się jakieśmy przewidzieli. Policzeni do gąb nieużytecznych, pożegnaliśmy Paryż, i oto znajdujemy się w Wiedniu, tój starożytnej *Windobonie*, w kraju Gallów lub Celtów. Opuściliśmy więc Gallią, a oto jesteśmy znów w Gallii, w ziemi *Rakatrów*, których nazwa przechowała się dotąd, w nazwie dzisiejszych Rakuszan. Całe terażniejsze cesarstwo austro-węgierskie było zajęte przez Gallów: *Bojowie*, mieszkali w Czechach, na południe *Rakatrów*, przebywały inne znów pokolenia galskie. Nazwy Boheimów, Rakuszan, do dziś dnia przechowane, przypominają te odwieczne pokrewieństwa starożytnych tutejszych mieszkańców, z tubylcami z nad Sekwany i Loary.

Taki stan rzeczy istniał na kilka wieków przed Chrystusem. Im więcej starożytnicy zagłębiają się w badaniach, nad ludami Europy, tém silniejsze wykazują dowody, tego szerokiego panowania Gallów, na które pierwszy zwrócił uwagę znakomity uczeń Surowieckiego Szafarzyk, w swoich *Starożytnościach słowiańskich*. Onto pierwszy wprowadził do historyi Rakatrów i Bojów i Omblanów, jako przedstawicieli galskich na ziemiach Słowian.

Wiedeń od dawna nam znany. Byliśmy tu już nieraz, i nieraz zwiedzaliśmy tutejsze osobliwości; dziś jednak wydaje nam się jakby nowym. A i ten świetny Dunaj inaczej dziś na nas spogląda... i my wzajem inaczej nań patrzymy! Naturalny to skutek zewnętrznych wpływów, działających na nasz pogląd. Zdarzenia zaszły nad Sekwaną, dają nowe pobudki do myślenia. Cały świat europejski wstrząśnięty do gruntu, jak wówczas, gdy zorza wieków średnich, krwawą łuną pożarów zabłysnęła mu w oczy! i dziś, jak wówczas, ludy niby nagle przebudzone ze snu, pytają same siebie: Gdzie my? i jak wówczas, szukają nowych dróg, nowych bussoli! dla kierowania się w nowym życiu dziejowym, stosownie do nowych potrzeb i okoliczności!... Szczęśliwie jeszcze te, które pytają i szukają, których umysł zachowa trzeźwość i moc odpowiednio wielkim wymaganiom chwili!

W dzisiejszem wstrząśnieniu umysłów, powstało wiele pytań naukowych. Reformatorowie mający prawo do tej nazwy, również jak utopiści, patrzą na czas obecny, jako na chwilę sposobną do urzeczywistnienia ich pomysłów, tak w świecie fizycznym, jak politycznym, moralnym i społeczeńskim.

Alzacya i Lotaryngia! oto hasło które dziś porusza tysiące umysłów, zapala miliony serc. Uważamy też za właściwe, zwrócić uwagę na niektóre przynajmniej pytania dotyczące tego, tak ważnego przedmiotu. Ograniczamy się na przedstawieniu rzeczy, ze stanowiska czysto naukowego. Zobaczmy jak oceniają tę sprawę najnowsze publikacye niemieckie. Jesteśmy tu prostemi sprawozdawcami.

Z mnóstwa pism w tym przedmiocie, wybieramy trzy, gdyż te skupiają w sobie wszystkie odcienia opinii, w tej panującej dziś a tak żywotnej sprawie.

Jedno z tych pism ma tytuł: *Alzacya i Lotaryngia są i pozostaną naszymi*. Pismo to wydane przez Wolfganga Mentzla, charakteryzuje sposób patrzenia na rzeczy stronnictwa, przeważającego dziś w Niemczech. Autor wypowiedział jasno swoje zdanie. Na pierwszej zaraz stronnicy, zaczynającej rozdział p. t. *Nasze prawa do Alzacyi i Lotaryngii*, wyraża się w ten sposób:

„My Niemcy odbieramy Alzacyą i Lotaryngią, i zatrzymujemy te kraje, na prawie mocniejszego, (nach dem Recht des Stärkeren), na prawie podboju (nach dem Eroberungsrecht), na prawie odbioru własności; na prawie naturalnem pokrewieństwa, nakoniec na prawie zachowawczem, to jest dla lepszego niż dotąd zabezpieczenia się przeciwko złemu sąsiadowi!”

Następnie autor usprawiedliwia swój sposób widzenia, mówiąc że Francuzi w XVII wieku zabrali te kraje przy pomocy zdrajców niemieckich; „dziś przecież my silniejsi od Francuzów, a więc przy nas jest prawo. Na usprawiedliwienie nasze, dość nam powiedzieć: „jak ty mnie, tak ja tobie! (wie du mir, so ich dir. str. 6)!”

Domyślają się czytelnicy nasi, że przy takich postawionych z góry argumentach, trudno rozumować naukowo. To też zostawiamy pismo Wolfganga Mentzla do dalszych uwag; ograniczymy się tylko na jednej, aby pokazać jak stronnictwo reprezentowane przez autora, zapatruje się na niektóre zdarzenia historyczne.

Stronnictwo to zarzuca zdradę wszystkim prawie książętom niemieckim, od XI już wieku. „Między tymi zdrajcami książęcymi—mówi Mentzel, występują nasamprzód Gwelfy, których potomkowie w Hanowerze, jeszcze za dni naszych, spiskowali przeciwko Niemcom. W XII wieku, Gwelfowie stają po stronie papieża, przeciw cesarzom niemieckim.”

Dom Habsburski policzony niemniej do kategorii zdrajców. Kiedy książęcy dom Gwelfów osłabił się podziałami, dom Habsburgów przejął jego rolę. Rudolf Habsburski kupił sobie cesarską koronę u papieża i u króla francuzkiego, upokarzającem czolganiami i obietnicą że będzie służył wiernie interesom Rzymu i Francji. Przyrzeczenia tego dopełniał on również jak i jego następcy. Autor widzi w prześladowaniu Szwajcarów, przez Habsburgów, dowód nienawiści tegoż domu ku Niemcom. Za inne dowody, uważa przyjęcie korony tak czeskiej jak i węgierskiej! Dom tylko Hohenzolernów pozostał według autora wiernym posłannictwu narodowemu!

Zobaczmy teraz sposób widzenia szkoły zowiącej się *legalną*, przynajmniej w znaczeniu naukowym. Wyrazem jej, jest pismo prof. Dr. Adolfa Wagnera: *Alzacya, Lotaryngia i ich powrót do Niemiec*. Sam tytuł pierwszego rozdziału, wyborne określa tę *szkołę prawną*. „*Gegen Frankreich nicht gegen Napoleon!*” W odpowiedzi na odezwę rządu obrony narodowej we Francji, która jak wiadomo, przypominała wyrazy króla Wilhelma, iż prowadzi wojnę nie z narodem francuzkim, ale z Napoleonem, *Szkoła prawna* odpowiada: „Nie oszukujmy się, naszym wrogiem Francya, lud francuzki, nie zaś Napoleon”.

Długie pasmo wywodów o prawach Niemców do Alzacyi i Lotaryngii, autor zaczyna od wykazania pierwszeństwa ludów germańskich nad romańskimi i słowiańskimi. Pierwszeństwo to widzi w większym stosunkowo rozradzaniu się ludności niemieckiej, co u niego jest dowodem wyższości cywilizacyi. Poświęcił na te wywody znaczną część pracy swojej. Przechodząc do szczegółów, tak określa prawa Niemców do dwóch prowincyj francuzkich: „Opieramy się na zasadzie narodowości, na starożytnej jedności tych krajów z cesarstwem niemieckim, na zasadzie naturalnych granic, naostatek na prawie konieczności, nakazującym zabezpieczenie granic naszych od złego sąsiada”.

Główną cechą narodowości, stanowią według autora języki. Uważa jednak że narody mogą je zmieniać. Pokazuje tego dowód na mieszkańcach miast Metz i Belfort, równie jak ich okolic. „Mieszkańcy Metz, mówi, już w XVI wieku, w wielkiej wię-

kszości zarzucili swój język niemiecki, a przyjęli francuzki jako narodowy. Tu zatem prawo narodowości powinno ustąpić potrzebom strategicznym". Nawet Szampania, podług autora, jest z pochodzenia, ze krwi niemiecką, ale ludność tutejsza oddawna przyjęła język francuzki, a zapomniała własnego (str. 25). Professor Wagner zostawia przecież Szampanią Francuzom. Co do Metz utrzymuje, że oddalony tylko o dwie mile od miejsca gdzie panuje u ludu język niemiecki, z łatwością da się zniemczyć. Odrzuca myśl wcielenia całej Lotaryngii, tłumacząc się w ten sposób: „Zapominają ci którzy domagają się tego wcielenia, że Lotaryngia jeszcze przed połączeniem się z Francją, była w większej części zfrancuzioną.”

Co do języków w Lotaryngii niemieckiej i w Alzacyi, autor robi uwagę, że język francuzki jest tu salonowym i ogólnie upowszechnionym. Liczy on przecież na to, iż upokorzenie Francuzów, wpłynie pomyślnie na rozwój niemczyzny w tych prowincjach.

Professor zbija opinie pewnej części niemców. Posłuchajmy jak formułuje myśli swych przeciwników. Ciekawy ten ustęp podajemy w całości, charakteryzuje bowiem dzisiejszy stan rzeczy w Alzacyi i Lotaryngii, przedstawiony przez Niemców.

„Jak tu radzić z ludnością niezadowoloną, którą musimy annexować? Jeśli nawet z pochodzenia prawie wszystka, a z mowy w większej części jest niemiecką, to przecież z ducha swego okazuje się francuzką i nieprzyjazną Niemcom, mianowicie Prusakom. Dzisiejsza wojna daje tego dowody. Widać to głównie po miastach napół zfrancuziałych. Upadnie tu przemysł, tak rozwinięty wysoko, gdy targowiska francuzkie będą dla nich zamknięte. Prowincje te pod względem gospodarstwa, przyjdą też wkrótce do upadku, a to podniesie do wyższego jeszcze stopnia nienawiść ludności ku Niemcom, a przychylność jej dla Francyi. I pocóż Niemcom brać na siebie ciężki obowiązek, zwrócenia prądu dwuwiekowych tradycyj, aby w końcu zmarnować się bez pożytku!

„Po co? odpowiada professor, bo tego wymaga honor narodowy Niemiec, bo tego wymagają warunki ich bezpieczeństwa, ich interesu, a nawet prawdziwe dobro Alzatzyków i Lotaryngów, jakie spłynie na nich z rozbudzenia bratniej narodowości niemieckiej! Odfrancuzienie ich (Entwelschung) trudne jest, ale możebne!” Autor przytacza dowody na różnych prowincjach słowiańskich, przyznaje że Prusacy zdolni dopełnić tak wielkiego zadania w Alzacyi i Lotaryngii. Daje z kolei przepisy *Odfrancuziania*: bierze je zywcem z administracyi pruskiej. Na żydów jako na wielkich czynników Niemczyzny (stronni-ca 48) zwraca szczególną uwagę. Znajduje, że Francya nie dosyć okazywała im opieki. Do Niemców zatem należy wspierać ich, wzmacniać ich siły, i ośmielać do czynnego występowania.

Należy niemniej odfrancuziać za pośrednictwem szkół, wojska, urzędników przysyłanych z głębi Niemiec, a nakoniec przez kolonizacyą. Niemcy wydalenii z Paryża i z całej Francyi zamieszkają w tych dwóch prowincyach, i zostaną w nich gorącymi propagatorami idei niemieckiej."

Są jeszcze inne trudności co do połączenia dwóch prowincyj z Niemcami. Professor po kolei przywodzi i wyjaśnia te trudności. Przytaczamy z nich kilka:

Jakim sposobem Francuzi mogą wyrzec się Lotaryngów i Alzatezyków, kiedy ci ofiarują krwć i mienie dla utrzymania jedności z nimi? Gdyby przyszło do głosowania, czyżby głosy wszystkich nie padły za Francuzą?

Autor odpowiada na to: „Francuzi muszą zgodzić się ponieważ są poboi. Pytać zaś Lotaryngów i Alzatezyków nie należy, bo oni dziś zwichnięci z swego toru, nie rozumieją sami własnego dobra. Tak tedy nie powinniśmy wahać się z wezieniem do naszego państwa, naszych ziomków almańskich i frankońskich w Alzacyi i Lotaryngii, nawet wbrew ich woli, a przynajmniej nie pytając ich o to (str. 69).”

Inne pytanie: czyby nie wypadało uczynić z tych prowincyj oddzielnego państwa neutralnego? Professor protestuje również przeciw podobnym myślom, krążącym jak mówi w głowach rewolucjonistów niemieckich. Idzie tu o siłę Niemiec, o mocną centralizacyą, która tylko przez dom Hohenzolernów może być zrealizowaną. Urzeczywistnienie tej jedności nie ogranicza się na samę Alzacyi i Lotaryngii: sięga ono do Belgii, Holandyi, Szwajcaryi. Autor usprawiedliwia tę konieczność, już to wywodami słownikarskimi, w których widzi główną podstawę narodowości, już to potrzebami strategicznymi. Zostawia to jednak przyszłości, nateraz domaga się tylko zajęcia Szwajcaryi po Bazyleę.

Przechodzimy teraz do szkoły czysto historycznej, której organem jest dziełko Adolfa Smitha, profesora w Uniwersytecie Jeny p. t. *Alzacya i Lotaryngia, wyjaśnienie jakim sposobem cesarstwo utraciło te prowincyje*. Mamy przed sobą trzecią, najświeższą edycyą tego pisma (podpisaną przez autora 23 września r. b.). Owa data ma swoje znaczenie; pierwsze bowiem wydanie wyszło w roku 1859. Professor pokazuje tym sposobem, że przed jedenastu laty, w przewidywaniu wypadków, przygotował już materiały historyczne, usprawiedliwiające dzisiejszą wojnę. To oświadczenie autora zasługuje na większą uwagę niż same jego wywody historyczne; w tych bowiem nie przedstawia nic nowego.

Wiadomo że sami protestanci niemieccy, żądali opieki królów francuzkich przeciwko cesarzom, i że właśnie to pragnienie wolności religijnej, wiązało ich z Francuzą tak silnie, iż nawet prześladowania późniejsze w końcu XVII wieku, nie przeszkodzi-

dziły przewadze francuzkiej w Niemczech. W skutek to owych wojen religijnych nasamprzód trzy biskupstwa Toul, Verdun i Metz, a następnie Strasburg, przyłączone zostały do Francyi. Wiadomo również co do Lotaryngii, że ta dostała się Stanisławowi Leszczyńskiemu, jako wynagrodzenie za koronę polską, ustąpioną Augustowi II, popieranemu od Austrii. Ludwik XV uczuł się mocno obrażonym na cesarza, za protegowanie elektora saskiego z pokrzywdzeniem jego własnego teścia. Tak więc, ustępstwem Lotaryngii, cesarz zadowolnił i króla Stanisława i Francją.

Że ze strony gabinetu francuzkiego były intrygi, że ów gabinet korzystał z walk domowych rozdzierających Niemcy, to także powszechnie wiadomo. Autor w jaskrawych barwach maluje intrygi francuzkie, a zostawia w cieniu usilne starania samychże Alzaczyków i Lotaryngów o połączeniu się z Francją. Wszystkich w ogólności stronników Francyi, zowie po prostu zdrajcami Niemiec, a na ozele tych zdrajców stawia Maurycego księcia saskiego, naczelnika protestantów z połowy XVI wieku, który traktatem z r. 1551, z Henrykiem II królem Francyi, odstąpił mu trzy sławne biskupstwa: Toul, Metz i Verdun.

W konkluzyi autor cieszy się, że przygotowane przezeń materiały, wydały pożądaný owoc. Główną pobudką do napisania téj odezwy do Niemiec w roku 1859, były dla niego zwycięstwa Napoleona III we Włoszech.

Trzy pomienione pisma, ztąd zasługują na szczególną uwagę, że są wyrazem nie pojedynczych osób, ale całych stronnictw. Pozwolimy sobie kilku nad nimi spostrzeżeń.

Nic nie mamy do powiedzenia stronnictwu p. Wolfganga. Nie wspomnielibyśmy nawet o pismach tego rodzaju w Niemczech, gdyby nie podtrzymywali ich ludzie nauki, profesorowie uniwersytetów, w których młodź nasza czerpie światło!

Nie idzie nam o Alzacją ani o Lotaryngią, ale jedynie o zasady czysto naukowe. Czyż jest naukowo, zapytujemy naprzód, porównywać stau rzeczy w Niemczech w wiekach XI, XII, XIV, ze stanem dzisiejszym, a porównywać w wyłącznym celu szukania jedności najwyższych interessów moralnych świata ucywilizowanego? i do czegoż prowadzą podobne porównania? Oczywiście tylko do najniedorzeczniejszych rezultatów. Bo i jakże ocenić historyka, który dla usprawiedliwienia swojej teoryi, musi nazywać Gwelfów XII wieku, lub Habsburgów wieku XVI, zdrajcami idei i jedności niemieckiej? Kiedy cała wielkość i piękność ludów składających rzeszę germańską, leżała właśnie w tém, że te ludy nie czuły bynajmniej potrzeby owej silnej centralizacyi, do której dążą tak uporczywie Niemcy dzisiejsi?

A cóż mówić o prawach cesarzów w wiekach średnich? Nie byli oni wcale cesarzami Niemców, ale *Cesarzami* prawnemi, mo-

ralnemi, według pojęć ówczesnych Europy; tak dalece, że śmiało powiedzieć można, iż nie było narodu w Europie, któryby mniej więcej nie zostawał pod ich wpływem. Te prawa uświęcone były religią w osobie Karola Wielkiego.

Zdanie przeciwne, to jest mniemanie jakoby cesarz rzymski był szczególnie niemieckim, urodziły się już bardzo późno w ciągu zeszłego wieku, na schyłku czasów, kiedy i sam tytuł Cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego, miał być wkrótce zmienionym. Pod temi to nowemi ideami wychowani nasi professorowie, uczyli nas, że Mieczysław I uznając się choć w części lennikiem cesarstwa, szanował tym i upokorzył swój naród. Najmylniejsze to zdanie poszło w obieg, i rozszerzało się w miarę jak wzrastały niechęci nasze ku Niemcom. Ależ zły to i bardzo niebezpieczny sposób, bronić prawa swoje naciąganiem faktów historycznych. Nie szanował się wcale nasz Mieczysław, bo cesarstwo za jego czasów nie było wcale niemieckim ale rzymskim i takim zostało w pojęciach świata aż do dni naszych. Dlatego właśnie dzisiejsi Niemcy nie mają prawa ze stanowiska historyczno-naukowego, do ziemi i ludów, które składały podówczas państwo rzymskie.

Dziś szczególnie sprawa ta dokładnie jest wyjaśniona pracami uczonego W. A. Maciejowskiego, o znaczeniu starożytnej Germanii. Cesarstwo Rzymsko-Niemieckie było właśnie dalszym ciągiem owęj rzeszy germańskiej, która, jak słusznie udowodnił nasz uczoney, nie była wcale rzeszą niemiecką, ale raczej federacją Gallów, Niemców, Latynów, Słowian i Litwinów. Dlatego prawa magdeburskie i chełmińskie zwane niemieckimi, tak łatwo przyjmowały się w całej Polsce.

A cóż mówić o dowodach jakie przedstawia tenże uczoney co do moralnych praw przewagi Niemców, nad wszystkimi ludami europejskimi, z tytułu że Niemcy rozradzają się więcej niż Gallowie, Latyni i Słowianie? Podług tych zasad Chińczycy mieliby najśluszniejsze prawo panowania i nad Niemcami, boć u nich ludność mnoży się w większym jeszcze stosunku.

Nie stopnie to zwiększania się ludności, jak w czasach pogańskich, ale raczej stopnie ich doskonalenia się moralnego, stanowią w świecie prawdziwie chrześcijańskim, cechę narodów mających prawo przewodnictwa. Podług tójto modły należy sądzić ideę francuzką i prusko-niemiecką.

W czasach tak burzliwych jak nasze, sami nawet uczeni upadają częstokroć pod wpływem słabości ludzkich. Korzystają oni z talentu wzbogaconego pracą, aby stworzyć formuły naukowe, odpowiednie roznamiętnieniu chwili obecnej. Straszne to nadużycie nauki! To też właśnie w czasach tak namiętnych walk, nauka powinna protestować głośno przeciw zgubnemu kierunkowi, trzymając odważnie sztandar prawdy.

Dziś kiedy na Strasburg zwróciły się oczy całego świata ucywilizowanego, słusznie przypomnieć drogocenne skarby, jakie zamykała publiczna biblioteka tego grodu, zaczęć mieszczą ją gmach spalony został w skutek bombardowania.

Biblioteka Strasburska należała do najświetniejszych we Francyi. Łączyła w sobie dawną bibliotekę uniwersytecką i bezcenne skarby bibliograficzne darowane miastu w r. 1765 przez uczzonego archeologa Schoepflina, wraz z bogatym zbiorem starożytności. W liczbie 150,000 tomów, mieściły się tu *Biale kruki*, i wielkiej wagi unikaty, jakimi mało księgozbiorów poszczycić się ma prawo.

Podziwiano tu szczególniej zbiór rękopisów średniowiecznych, i inkonabuły pochodzące z biblioteki starożytnej Komanderyi św. Jana; oraz pierwsze druki z XVgo wieku, odbijane przez samego Guttenberga, który jak wiadomo, długi czas przebywał w Strasburgu.

Do osobliwości bibliograficznych liczono tu niemniej:

Zbiór konstytucyi miasta Strasburga od XIIIgo wieku.

Akta procesu Guttenberga, ze spadkobiercami Dritzehna, i dokument świadczący jako kapituła św. Tomasza pożyczyła 80 liwrów wynalazcy sztuki drukarskiej.

Wielki volumin pod tytułem: *Hortus Deliciarum*, pisany w r. 1286 przez Herradę z Lansberg, księżę klasztoru św. Otylii. Dzieło to ozdobione licznymi miniaturami, nadzwyczaj ważnemi pod względem historii sztuki, jak niemniej i kostiumów ówczesnych.

Zbiór modlitw z VIII i IX wieku pisany na welinie purpurowym, złotemi i srebrnemi głoskami.

Mszał z cyfrą Ludwika XIIgo, z podpisem Franciszka arcy-biskupa Lyonu.

Brewiarz zdobny w piękne miniatury i arabeski.

Dykeyonarz charakterów stenograficznych, jakich używano w kancelaryi królów Karolowingów.

Zbiór praw kanonicznych, dokonany przez Rachio biskupa strasburskiego, a spisany w r. 788.

Poemat o wojnie Trojańskiej przez Konrada z Wartenburga, obejmujący 60,000 wierszy.

Kazania Eckarta i Jana Tauler.

Kroniki Koenigshovena po niemiecku i po łacinie.

Corpus Juris z glossą bolońską, należący niegdyś do sławnego Reuchlina.

Bajki Bonela.

Poezye Godfrieda z Hagenau.

Rękopisy wielu autorów klasycznych; matematyków greckich; rozmaite kodexa praw barbarzyńskich i t. p.

W zbiorze starożytności mieściły się niemniej drogocenne pomniki. Wyliczymy z nich najznakomitsze:

Dwa kolosalne posągi: jeden przedstawiający św. biskupa Arbogasta; drugi Rudolfa z Habsburga, który nim został cesarzem, był dowódcą wojsk strasburskich.

Starożytna płaskorzeźba z drzewa, złożona i pociągnięta farbą (w rodzaju Wita Stwosza), przedstawiająca strażę uśpioną przy grobie Pańskim.

Rzeźby wyobrażające bóstwo galskie Teutatesa.

Ołtarz Apollina, przezwanego po galsku Grannusem, to jest słońcem.

Inne ołtarze rzymskie z wizerunkami różnych bóstw w płaskorzeźbach.

Wielki stół kamienny, rzeźbiony w symboliczne zwierzęta; zabytek pierwszych wieków chrześcijańskich.

Kamień grobowy, przedstawiający rycerza galskiego w zupełnym uzbrojeniu, z napisem: *Leontius*.

Wielki kielich szklany, znaleziony w sarkofagu kamiennym, a na nim wyryty napis: *Salve, Maximiane Auguste*. (Drugi takiz sam znajduje się we Włoszech).

Zbiór medalów strasburskich i alzackich, między niemi z epoki Franków.

Wielki Schwoerbrief (konstytucya) zaprzysięgany corocznie przed katedrą.

Plan miasta Strasburga, wykonany rzeźbą przez Spehlina w r. 1574.

Chorągiew miasta Strasburga z wyobrażeniem Bogarodzicy.
Zbiór starożytnych okien z klasztoru Kartuzów z Molsheim, wykonanych przez braci Linek w XVII wieku, według wzorów Vossa z Antwerpii.

Kamień z napisem z IIIgo wieku, świeżo wykopany w pobliżu katedry.

Chrzcielnica z pierwszych czasów chrześcijaństwa, znaleziona w Renie.

Portrety Guttenberga, Keplera i t. p.

Stare instrumenta muzyczne.

Dwa obrazy przedstawiające sławne zebrania Minnesingerów i Meistersingerów.

Pałasz Klebera.

Kociołek brązowy Zurychezaków.

Z kociołkiem tym łączy się podanie z XVIgo wieku, zapisane w miejscowych kronikach. Strasburczacy słynęli z celnego strzelania z łuku. Mieli oni po za jedną z bram miasta wielki plac na ten cel przeznaczony. Od czasu do czasu, cech strzelecki wyprawiał wielką uroczystość, powołując do konkursu, bratnie cechy z ościennych krajów. Taką uroczystość zapowiedziano na rok 1576. Zurychezacy, odwieczni przyjaciele i sprzymierzeńcy

Strasburgezyków, otrzymali wezwanie. Pamiętni zbrojnej pomocy, jakiej nieraz doznali od mieszkańców Strasburga, chcieli okazać wzajemnie, całą gotowość do spiesznego wsparcia ich w razie potrzeby. Pięćdziesięciu czterech celniejszych obywateli Zurychu, puściło się w drogę o godzinie 26j przed świtem, o 9ej wieczór, statek ich przybił do brzegów Strasburga. Przywieźli z sobą kociołek krup jaglanych, przyrządzonych w Zurichu; tak starannie osłonięty, że nie wystygł przez całodzienną drogę. Był to symbol ciepłych serc bratnich.

Te przygody opisał wierszem współczesny poeta Fischart, zmarły w roku 1589.

W wydziale publikacyj historycznych z r. b. na szczególną uwagę zasługuje dzieło uczonego murzyna portugalskiego Luiza Gomez, p. t. Margrabia Pombal.

Luiz Gomez zmarły kilka miesięcy temu, był tubylcem z Indyi portugalskich. Urodzony w Goa, należał do plemienia murzynów, właściwego tej miejscowości. Murzyni tameczni kolorem tylko skóry zbliżeni są do afrykańskich braci; rysy ich twarzy regularniejsze, włosy bynajmniej nie wełniste, inteligencya bardzo rozwinięta.

Osiedlony od młodu w Portugalii, wykształcony wysoko, zamiłowany w pracy umysłowej, Gomez oddał się pilnie naukom historycznym. Zbadał dokładnie archiwa portugalskie; wydobył z nich dokumenta nieznane światu, i napisał obszerną biografię margrabiego de Pombal. Ważny to ustęp z dziejów Portugalii XVIIIgo wieku. Aby tém bardziej zpopularyzować to dzieło, autor napisał je w języku francuzkim, tak upowszechnionym w Portugalii. W stylu jego znać często obce zwroty, lecz nagradza je hojnie bogata wyobraźnia, nadzwyczajna werwa i zdolność obrazowania, właściwa ludom pierwotnym.

Luiz Gomez za położone w kraju zasługi, powołany był do Izby Korteżów. Paryzkie Towarzystwo Ekonomii Politycznej wezwało go także na członka.

Przypatrzmy się teraz pobieżnie historycznemu dziełu, któremu w wielkiej części Gomez zawdzięcza swoją sławę.

Podjął on i ożywił jedną z najwydatniejszych postaci XVIII stulecia. Pombal należy do tych wielkich typów, uosabiających nie tylko geniusz narodowy, ale bardziej jeszcze, oblicze wieku w którym żył i działał. Podobnych mężów stanu których prototypem był sławny kardynał Richelieu, wydawały w ostatnich dwóch wiekach, wszystkie niemal państwa Europy. Celem tych reformatorów było utworzenie władzy silnej a postępowej. Pracowali szczerze na korzyść ludu, nie przypuszczając go wszakże do współdziałania w pracy. Szło im głównie o obalenie przywi-

lejąw szlachty feudalnej i duchowieństwa, a o zcentralizowanie władzy w ręku panującego. Rozwijali z całą usilnością handel, przemysł, rolnictwo, aby wzbogacić lud, a tém samém zasilać skarb państwa, którym król rozporządzał bez kontroli. Znane hasło Ludwika XIVgo: *l'Etat c'est moi*, było hasłem owych reformatorów.

Jeżeli nazwalimy Richelieu'go prototypem tego szeregu mężów stanu, wśród których Pombal ważne zajmuje stanowisko, nie idzie zatem żeby sławny kardynał był twórcą owęj idei, co tak długo rządziła światem. Idea ta sięgająca czasu rzymskich Cezarów, zwalczana silnie federalizmem wieków średnich, podniosła już głowę w czasach odrodzenia; Machiawel pierwszy ujął ją w teorię. My także połączeni tak ściśle z Europą w całym rozwoju dziejów naszych, musieliśmy poddać się choć czasowo wpływowi tego prądu, którego przedstawicielem u nas był Kalimach, nauczyciel i doradca młodych Jagiellończyków.

Pombal, równie jak inni mężowie stanu wieku XVIIIgo, głęboko był przekonany iż silnie zcentralizowana władza, sama tylko stanowi niechybną rękojmię postępu. W widokach dobra powszechnego przyjął on zasadę: iż cel usprawiedliwia środki. Jakoż niezinordowany szermierz walczył gorliwie w obronie swego przekonania.

Za przykładem kardynała Richelieu'go, Pombal wziął sobie za cel wzmocnić posady tronu; oswobodzić monarchę od opieki możnowładzców; uwolnić go od wszelkiej kontroli. Według niego, arystokracja przeznaczoną była jedynie na to, aby blaskiem swoim podnosić urrek korony; ztąd całą jej czynność chciał ograniczyć na służbie dworskiej, usuwając ją od współdziałania w rządach. Aby tém pewniej podkopać jej znaczenie, postanowił wydrzeć szlachcie ostatki dawnych przywilejów, a jako przeciwwagę postawić obok niej zamożne i oświecone mieszczaństwo. Taką samą walkę wypowiedział i duchowieństwu; unyślił odsunąć je od wszelkiej władzy, a zwrócić wyłącznie do pełnienia kapłańskich obowiązków. Ta myśl przewodniczyła mu stale, przez długi ciąg politycznego zawodu.

Sebastyan Jozef de Carvalho, późniejszy margrabia di Pombal, urodził się w r. 1699. Rodzina jego lubo zamożna, nie posiadała przywilejów szlacheckich. Był to człowiek nadzwyczaj urodziwy: wzrost miał wysoki, oko bystre, głos dziwnie harmonijny. W młodych latach poślubił panienkę wysokiego rodu; związki te postawiły go na widowni. W czterdziestym roku życia, po długiej pracy i gruntowném przygotowaniu naukowém, rozpoczął zawód publiczny, a rozpoczął go świetnie: najprzód jako pełnomocnik przy dworze londyńskim, następnie przy dworze wiedeńskim.

Po śmierci króla Jana Vgo Carvalho powrócił do Lizbony w r. 1750. Zmarły król wstąpiwszy na tron dzieckiem, panował

około lat pięćdziesiąt. Wierny naśladowca Ludwika XIVgo, chciał zbliżyć światu niesłychanym przepychem; budował wspaniałe pałace, zakładał rozkoszne ogrody. Po burzliwej i wesoło spędzonej młodości, w ostatnich latach życia oddał się wyłącznie religijnym praktykom. Dwór jego przybrał postać klasztorną; ster rządu podjęli zakonnicy.

Nowy król Józef I, wstąpił na tron w trzydziestym piątym roku. Słaby i gnuśny z natury, nie miał ani siły, ani woli do rządzenia państwem. Matka jego Austriaczka nasunęła mu Sebastjana Carvalho, który dał dowody wielkiej zręczności w misji dyplomatycznej do wiedeńskiego dworu.

Pięćdziesięcioletni Carvalho, wziął wtedy czynny udział w rządach; najprzód jako minister wojny, później spraw zagranicznych, nakoniec spraw wewnętrznych. Król nadał mu wówczas tytuł margrabiego de Pombal. Niezmordowany pracownik, wytrawny mąż stanu, człowiek umysłu przedsiębiorczego, woli niezłomnej, a przytem chciwy panowania, pochwycił zręcznie wodze rządu, wysuwające się z rąk słabego monarchy, i został sam rzeczywistym władcą państwa.

Pierwsze jego pomysły nie były zbyt szczęśliwe, mianowicie pod względem finansów. Dzielił on panujące wówczas mniemanie, tak niezgodne z dzisiejszemi prawami ekonomii, że złoto i srebro stanowi główne bogactwo kraju; zabronił więc surowo wywozu brzęczącej monety, i to w czasach gdy złoto napływało tak obficie z kopalń Brazylijskich. Najmniejsze w tym względzie przekroczenie, karane było śmiercią. Prawo to istniało od dawna, lecz pozostało dotąd martwą literą, Pombal pierwszy przestrzegął ściśle jego wykonania. Pozaprowadzał też monopole w rozmaitych gałęziach handlu i przemysłu, z korzyścią uprzywilejowanych kompanii, a ze szkodą powszechną. Taki monopol udzielony na wywóz wina, oburzył do żywego pokrzywdzonych. Miasto Oporto stawiało silny opór. Pombal wytoczył mu proces o zniewagę majestatu, dowodząc że obraza praw postanowionych przez monarchę, wyrównywa zniewadze samejże osoby. Tak utrzymano w Rzymie za Tyberyusza. Skutkiem powstania w Oporto, siedmnaście osób poniosło śmierć z ręki kata; innych osadzono w więzieniu.

Przyszły wkrótce smutne dni klęski, w których dyktatorska działalność Pombala, objawiła się w całej mocy, na korzyść dotkniętego ludu. W poranku 1 listopada r. 1755, wielkie trzęsienie ziemi zburzyło do gruntu Lizbonę. Na zgłiszczach powalonego miasta, wybuchnął straszny pożar i dokonał zniszczenia. W ciągu dziesięciu minut, najpyszniejsze gmachy rozsypały się w gruzy i przytłoczyły do 10,000 osób. Potrzeba było działać z niesłychanym pośpiechem, gasić pożar, grzebać umarłych, odgrzebywać żywych, uspakając postraszone umysły, zacząwszy od rodziny królewskiej która chciała uciekać do Oporto; potrzeba by-

ło myśleć o zaopatrzeniu stolicy w żywność, o wsparcie tysięcy nieszczęśliwych, przywiedzionych w mgnieniu oka do tułactwa i nędzy; potrzeba było wreszcie, porozpędzać bandy rozbójnicze, które rzuciły się na zgłiszcza niby krucy na padło. Pombal wszystkiemu podołał. W chwili niebezpieczeństwa, okazał niesłychaną moc duszy i szczególną przytomność umysłu. Tej klęsce winien był swą potęgę. Lud wszystek skłonił głowę przed tym co go ocalił, i tak mądrą otoczył opieką. Jednomyślnie uznano go panem. Wówczas Pombal zajął się czynnie odbudowaniem miasta; nadał mu blask jakiego nigdy dotąd nie miało. Korzystając zręcznie z powszechnego zapału, usunął z ministerium ludzi przeciwnych opinii, a zastąpił ich swemi poplecznikami.

W trzy lata potem r. 1758, inny wypadek wyżej jeszcze podniósł władzę ministra. Król Józef w przejeździe z Lizbony do Belem, strzałem z dubeltówki zranion był mocno w ramię; powód zbrodni przypisywano powszechnie stosunkom miłosnym z donną Teresą de Tavora. Król jechał właśnie do niej. Pombal przez trzy miesiące trzymał rzecz w tajemnicy, chorobę królewską przypisywał spadnięciu z konia. Gdy wszystko przygotował, zrzucił dopiero maskę. Rozkazał uwięzić księcia d'Aveyro, wielkiego marszałka dworu, margrabiego de Tavora teścia donny Teressy, żonę jego Leonorę de Tavora, z dwoma synami, i mnóstwo innych osób. Obok panów powleczono i sługi do więzienia.

Rodziny Tavora i Aveyro należały do najpierwszej arystokracji portugalskiej. Dona Leonora słynna z rozumu i dumy, traktowała z góry Pombala, nie chciała słyszeć o małżeństwie jego syna z córką swoją, zwała go pogardliwie dorobkowiczem. Książę d'Aveyra, usunięty od rządu, zacięty był wrogiem ministra.

Wyrok trybunału królewskiego, któremu sam Pombal przyzwołał, skazał obwinionych na śmierć w najszerszych katuszach. Książę Aveyro wpleciony był w koło, a następnie spalony na stosie wraz z przegiętem. Ten sam los spotkał margrabiego Tavora. Dwóch dworzanów księcia spalono żywcem, dwóch innych uduszono. Dona Leonora sądzona ze szczególnym względem, miała uciętą głowę. Przez grzeszność dla kobiety, rozpoczęto od niej krwawy dramat. Po matce wstąpił na rusztowanie jej syn dwudziestoletni młodzian.

Pombal dopiął swego. Upokorzył arystokrację, odarł ją z wszelkiego uroku w oczach ludu. Najzaciętych wrogów powlókł na śmierć ohydną jako zbrodniarzy. Na pozostałych rzucił postrach.

Skończywszy sprawę z możnowładcami, wystąpił do walki z duchowieństwem, a mianowicie z jezuitami. Oskarżył ich o udział w królobójczym zamachu. „Z pomiędzy uwięzionych, mówi Gomez, Ojciec Malgarida był celem czci powszechnej w Lizbonie. Lud wszystek miał go za świętego, arystokracja otacza-

ła go miłością i poszanowaniem; matka królewska widziała w nim wyrocznię.”

Potrzeba było wielkiej zuchwałości, aby rzucić podejrzenie królobójstwa na starca czczonego tak powszechnie. Pombal nie poprzestał na tém. Postanowił on w osobie Malgaridy, zożydzić w oczach ludu cały zakon. Aby dopiąć celu, obwiniał starca o kacerstwo i oddał go pod sąd inkwizycji. Znalazł po temu pozór. Więzienie oddziaływało na nieszczęśliwego Malgaridę; umysł jego zdzieciniał. W samotności więzienną począł pisać życie świętej Anny, utrzymując że pisze pod dyktowaniem samej świętej; praca jego pełna splątanych formuł scholastycznych, świadczyła o pomieszaniu zmysłów. Łatwo było wyprowadzić z niej dowody herezyi.

W r. 1761, nastąpiło *Auto da fe*. Pięćdziesiąt dwie ofiar powleczone na stos. Straszne widowisko urządzone było według ceremoniału postanowionego za Filipa II. Wkoło placu pobudowano łoże i galerye. Pierwsze w nich miejsca zajęli grandowie, dostojnicy i dwór, jak niemniej ambasadorowie obcych państw. Pręgięz z którego odczytano wyrok, przybrany był z niesłychanym przepychem. Na czele skazanych szedł Malgarida w asystencji dwóch benedyktynów i dwóch panów, którzy według zwyczaju, służyli mu za ojców chrzestnych. Po zdjęciu sakry, odczytano mu wyrok trybunału; przez wzgląd na zgrzybiałe lata, sąd sfolgował karę pozwalając udusić starca przed spaleniem.

Luiz Gomez, który nie występuje bynajmniej jako obrońca jezuitów, zbadawszy do gruntu ówczesne archiwa, tak wyraża zdanie swoje co do tej sprawy: „Znalazłem niezliczoną moc zaskarżeń, lecz nie dostrzegłem ani jednego dowodu, któryby świadczył za współdziałaniem ich w królobójstwie”. Zarzut herezyi również był bezzasadny.

Pombal szedł naprzód po zgłiszczach i po trupach. Odrzącał śmiało każdą zapórę, jaka stanęła mu na drodze. Wtrącił do więzienia mnóstwo panów tak duchownych jak świeckich. Dwóch nawet królewskich braci zamknął w klasztorze karmelitów bosych w Buseaco. Wszystko truchlało przed nim.

Autor z całą bezstronnością, kresli postać Pombala. Nie przemilczał jego okrucieństw, nie tłumaczy ich bynajmniej zasadą, której on mąż stanu trzymał się wiernie, że cel usprawiedliwia środki. Z drugiej strony za to wykazuje wielkie zasługi reformatora, położone tak w administracyi jak w sprawie wychowania publicznego.

Pombal pozakładał szkoły i kollegia po-wszystkich miastach i postawił je na wyższej stopie. W r. 1761 założył kollegium szlacheckie, w którym synowie pierwszych rodzin mieli się kształcić na dyplomatów i świątłych dostojników państwa. Montigny poseł francuzki, zdając sprawę rządowi swemu, ze stanu wycho-

wania w Portugallii, mówi, że znalazł w kraju ośmset trzydzieści siedm szkół elementarnych i wyższych. Zaprowadził też Pombal drukarnią królewską i radę cenzury, opartą na postępowych prawach. W roku 1772 zajął się zreformowaniem uniwersytetu w Koimbrze, pilnie on czuwał nad tym zakładem naukowym.

W prawodawstwie cywilnem zaprowadził zbawienne zmiany, usunął nadużycie. Zmniejszył powinności i daniny wieśniaczego ludu, tamujące rozwój rolnictwa. Zniósł wielką liczbę majoratów. Ograniczył władzę ojców nad dziećmi, co do gwałtownego narzucania związków małżeńskich. Zrównał w prawach tubyleców w Indjach portugalskich z białymi, podniósł dobrobyt, i urządził nową administracyą, w tych niegdyś kwitnących posiadłościach. Postanowił, że niewolnik skoro postawi stopę na ziemi portugalskiej, otrzymuje tém samém wolność. Nakoniec zniósł prawo spadkobierstwa w urzędach publicznych.

Uniał też Pombal utrzymać godnie niepodległość Portugallii w stosunkach z obcymi państwami. Zmusił Anglią do poszanowania praw morskich. W wojnie zarówno był szczęśliwym: stawił dzielnie czoło napaści Hiszpanów, zmusił ich do odwrotu; słowem nadał małej Luzytanii niepoślednie w świecie stanowisko.

Nie było mu przecież dano jak Richelieu'mu, umrzeć w blasku dostojenstwa i chwały. Skon króla roku 1777, położył kres rządowi ministra, tak z wielu względów pożytecznym dla kraju. Młoda królowa donna Marya odziedziczywszy tron po ojcu, otoczyła się stronnictwem nienawistnem oddawna Pombalowi. Józef umierając złożył córce list, który miał być dla niej wskazówką postępowania. W owym liście nie ma i wzmianki o Pombalu. Świadczy to wyraźnie, że słaby król, aczkolwiek sam ulegał woli wszechpotężnego ministra, czuł jednak dotkliwie, ciężącą nad nim rękę.

Skoro król zamknął oczy, zaczęła się reakcyja; pyszny starzec wystawiony na tysiące pocisków, drogo okupił trzydziestoletnią władzę. Zrazu królowa zostawiła go przy ministerstwie spraw wewnętrznych, lecz odebrała mu ogólną dyrekcycą rządów. Patrzał jak gmach wzniesiony przezeń z takim mozofem, szybko rozsypanywał się w gruzy. Rozwarto bramy więzień; wyszły z nich liczne ofiary, wplątane w sprawę o królobójstwo. Włos ich posiwiały przed czasem, cera pożółkła, barki pochylone, wymownie świadczyły przeciw gwałtom Pombała. Domagali się rozpatrzenia sprawy; trybunał ogłosił ich niewinność, przywrócił ich do praw i majątków. Lizbona przyklasnęła wyrokowi.

Pombal podał się do uwolnienia ze służby, otrzymał je niezwłocznie. Zamieszkał w zamku opodal od stołecznego miasta, lecz i tam nie znalazł spokoju. Pokrzywdzeni rozpoczęli straszny odwet. Posypały się gradem oskarżenia przeciwko dawnemu ministrowi. Królowa pod naciskiem opinii, wyprawiła do zamku Pombal dwóch komisarzy sądowych. Rozpoczęto indy-

Pombal ośmdziesięcioletni starzec upadły na siłach, nie potrafił się bronić. Trwoga ogarnęła jego umysł. Procedura przeciągnęła się lat dwa. W roku 1781 zapadł wyrok królowej oznajmiający, że sędziowie rozpatrzywszy do gruntu sprawę Pombala, uznają go zbrodniarzem, godnym przykładnej kary; ale zważywszy podeszłą jego starość, i chorobliwy stan zdrowia, królowa daje się przebłagać jego prośbie, w której sam potępia własną nieudolność, nadużycia i gwałty.

Wyrok ten skazywał Pombala na oddalenie się od dworu, o mil dwadzieścia. Ktokolwiek czuł się przez niego pokrzywdzonym, miał prawo wytoczyć mu proces i powołać go przed sąd. Starzec nie mógł przeżyć takiego upokorzenia. Umarł w kilka miesięcy po ogłoszeniu wyroku (1782).

Rzecz dziwna że królowa kierowana duchem stronnictwa, sprzysięgłego przeciwko Pombalowi, podpisała wyrok potępiający w najsurowszy sposób dwódziesto-siedmioletnie panowanie ojca. Można zapytać nawet, czy moralność publiczna zyskała na takim potępieniu?

Pombal w złém i w dobrém, należy do tych ludzi nadzwyczajnych XVIII wieku, jakich typ przynajmniej zbliżony powtórzył się i w kilku naszych reformatorach różnych czasów, którzy wyrobili sobie teorią wyrozumowaną, i chcieli ją przeprowadzić, bez udziału interesowanego społeczeństwa!

Pod tytułem *Brewiarz króla pruskiego*, Juliusz Janin napisał jedną z tych pogadanek, jakie on tylko pisać umie, pełną niesłychanego dowcipu obok erudycyi. Autor nazwał *Brewiarzem*, zasady skreślone blisko sto lat temu przez Fryderyka II, dla nauki bratanka swego i następcy. Jest to polityczny testament króla. Książka ta pod tyt. *Sztuka panowania*, wydana była przez Woltera z własną jego przemową. Do dziś dnia zachodzi wątpliwość kto ją w rzeczy samej napisał, to przecież nie podlega wątpliwości, że wszyscy następcy Fryderyka II, trzymali się wiernie skreślonych w niej przepisów.

Juliusz Janin według zwyczaju swego, krąży zgrabnie około przedmiotu, zaczęł go na dobre pochwyci. Kilkoma rzutami pióra kreśli humorystycznie postać Ludwika XV; na dworze wersalskim roku 1740 gdy nadeszła wieść o skonie Fryderyka Wilhelma, Ludwik nie raczyl zwrócić nawet uwagi na tę chwilę, a przecież była to chwila ważna w następstwa tak dla Francyi jak i dla całej Europy: Fryderyk II podejmował berło!

Oto obrazek Janina:

„Dnia jednego, było to w czerwcu, deszcz padał ulewny. Król Ludwik XV nudził się bardziej niż zwykle. Próbował

z kolei rozmaitego rodzaju rozrywek: to przął wełnę z kołowrotka pani Mailly, to jął toczyć bilbokiet dla panny de Nesle; to smażył jajecznicę na spirytusie, to rozstrzygał ważne pytanie ceremoniału dworskiego, czy księżniczki córki mają być noszone w krześle do pokoju królowej, czy też chodzić na własnych nogach; to grał w pikietę z panią de Taillerand. Wszystko napróżno! czoło królewskie nie mogło się rozmarszczyć. Król nudził się i ziewał.

Wtém, wszedł do sali kardynał Fleury z większą jeszcze niż zazwyczaj powagą; oznajmił uroczyście że król pruski żyć przestał. Wiadomość ta nie poruszyła wcale Ludwika XV. Król pruski chorował na puchlinę, śmierć była przewidziana.

— Czy tak?, rzekł Ludwik, bawiąc się koronkowym mankietem. Wieczny odpoczynek! dodał otwierając usta do ziewania.

Nazajutrz panie dworskie przybrały się w żałobę, panowie pokryli krepą rękojmię szpad i włożyli czarne pończochy. Sześć tygodni trwała żałoba dworska."

Janin znów w kilku rzutach kreślił dwie postacie, zmarłego i nowego króla pruskiego.

Fryderyk Wilhelm umarł tak jak żył, ze szpadą u boku, odbywszy przegląd swoich 2750 olbrzymów tworzących pułk przybocznej gwardyi. Był to jedyny jego zbytek. Oprócz tych bajecznych Tytanów, kochał on tylko pieniądze. Z synem swoim dziedzicem korony, obchodził się nielitościwie, czego synu nigdy mu nie przebaczył. Następca tronu pozbawiony wszelkiej roli na dworze, zwrócił się do dwóch ludzi, dwóch słynnych pisarzy: do młodego Woltera i słynnego historyka Rollina.

Zaraz po wstąpieniu na tron, Fryderyk II zwinął kosztowną gwardyę. Kilkunastu ledwie z tych drabów, przebrał w liberyą, i zamienił w bajduków dworskich. Przystępny dla każdego, uprościł a raczej zniósł etykietę dworską. Obiad jego składał się z czterech dań: rosółu, sztuki mięsa, jarzyny i pieczeni; wety całkiem były nieznanne. U stołu rozprawiano swobodnie o rzeczach religijnych, robierano tajemnice polityczne. Król jednak, zwłaszcza co do polityki nie objawiał nigdy swego zdania. Pragnął wiedzieć wszystko co o nim mówiono, czytał liczne pamphlety pisane przeciw sobie. Nie polegając na nikim, chciał każdą rzecz widzieć na własne oczy.

— Razu jednego—mówi Janin—przyszła mu ochota zobaczyć fortecę strasburską. Pojechał tam w towarzystwie brata, ale komendant twierdzy książę Broglie, równie był przenikliwym jak i Fryderyk; nie nie mogło się ukryć przed baczniem jego okiem. Skoro tylko król przybył do Strasburga, pod nazwiskiem hr. Dufour, doniesiono o tém Brogliemu. Marszałek co żywo stroi się w paradny mundur, kładzie wszystkie ordery, pośpiesza do hotelu. Zastaje tam króla wśród grona oficerów francuzkich, z którymi się już poznał. Nikt z obecnych nie domyślał się króla pruskiego w mniemanym hrabi Dufour.

— Najjaśniejszy panie! rzekł Broglie z głębokim pokłó-
nem, przybywam służyć Waszej Królewskiej Mości.

Król zagryzł usta, lecz zataił gniew. Z rozkazu marszałka
naczelnym inżynierem wprowadził dostojnego gościa po cytadeli, lecz
ukrył przed nim najsłabszą jej stronę. Tegoż wieczora Fryderyk
odjechał nie osiągnąwszy celu.

Utrzymanie pysznej gwardyi zmarłego króla, kosztowało
rocznie 2,800,000 luidorów, Fryderyk II za te pieniądze wysta-
wił kilkadziesiąt tysięcy wojska. Zwróciło to uwagę ościennych
państw, szczególnie Austrii. Wiadomo było powszechnie, że po
zmarłym zostało w skarbcu królewskim 140,000,000 oszczędno-
ści; że młody król z koroną otrzymał 40,000,000 dochodu.

Wkrótce wybuchnęła wojna szlązka. Aby ją usprawiedli-
wić Fryderyk rozesał do pełnomocników swoich po wszystkich
dworach, dowody prawdziwego, czy zmyślonego zamachu. Do-
wody te świadczyły jakoby dwór austriacki kazał pochwycić
króla pruskiego, i niezwłocznie dostawić go do Wiednia.

Wiadome są wypadki wojny siedmioletniej. Szlązk roz-
poczyna ten szereg zdobyczy, któremi małe Elektorstwo Brande-
burskie wzrosło do dzisiajszych rozmiarów.

Przechodzimy teraz do ocenienia dziełka o *Austrii*, wydane-
go w tym roku przez p. Ludwika Déprés; książka ta w samą po-
rę wpadła nam w oczy, na miejscu bowiem możemy ją osądzić
stokrode lepiej niż w dalekim Paryżu.

Kilka dni temu, będąc na Grabcu, najokazalszej z ulic tu-
tejszych, rzuciliśmy okiem na bogatą wystawę księgarską. Tłu-
my przechodniów zatrzymywały się u wielkich okien, bo téż od
góry do dołu zawieszono mappami Zachodniej Europy i planami
Paryża rozmaitych rozmiarów. Jedni z żalem, drudzy z widoczną
chciwością, inni z wyrazem szyderstwa, poglądali na te dwadzieścia
fortów oznaczonych czerwoną farbą wkoło wielkiego grodu. I nam
serce ścisnęło się boleśnie na widok miejsc tak dobrze znanych,
dziś może oblanych krwią i łzami. Żal nam było tych ofiar,
które trupem własnym ścielą dla drugich szeroki gościniec dla
przyszłości, lecz spokojni byliśmy o miasto. Głos proroczy poety
IX wieku, szeptał nam wyraźnie: „Nie można wziąć Paryża!”

Mało tu dziś książek na wystawie, same broszury dotyczące
się obecnych wypadków. W jedném uboczném oknie ujrze-
liśmy kilkanaście książek francuzkich: ostatni romans Georges-
Sand, pierwszy romans córki jej Olesinger-Sand, dzieło p. Royer
o pierwotnym człowieku i t. p. Zaciekawili nas tytuł jednej z nich:

En-Austriche p. L. Dipres. Książka wydana w roku 1870;
imie autora znane nam było z reklam dziennikarskich. Wybor-
nie! pomyśleliśmy, tego nam właśnie trzeba, znajdziemy tu nowe
spostrzeżenia o kraju, dla nas jeszcze tak obcym. Weszliśmy do

księgarni. Po otworzeniu książki wzrosła nasza ciekawość. *De Paris à Bude*, taki był drugi tytuł. Mamy więc nie sam tylko Wiedeń, ale i Budę tak dla nas sympatyczną. Poniżej tytułu wyliczone szeregiem dwanaście poprzednich prac autora: są tam i poezye, i romanse, i przejażdżki po różnych krajach: Anglii, Hollandyi, Belgii i t. p. Zabieramy więc książkę z pośpiechem żeby jój nam ktoś inny nie porwał.

Co żywo powracamy do domu z naszą zdobyczą. Na pierwszej stronicy dowiadujemy się że autor nie sam, ale w towarzystwie artysty-rysownika odbywał tę przejażdżkę. Tém lepiej! co dwóch to nie jeden! W przedmowie oświadcza autor, że powziął myśl podróży w czasie wystawy paryżkiej poznawszy się z wykształconym Madiarem, członkiem Międzynarodowej Komisji. Biorąc miarę z owego Madiara, który wybornie mówił po francuzku, nasi podróżni sądzili naiwnie, że w Peszcie, a tém bardziej w bliższym geograficznie Wiedniu, znajdą się jak między swoimi. Ruszyli więc w drogę, nie umiejąc po niemiecku ani jednego słowa. Pojmujemy zupełnie, że podróż odbyta w takich warunkach, nie mogła być ani przyjemną, ani pożyteczną; nie dziwimy się też wcale, że nasi turyści, przeznaczyszy na nią blisko miesiąc, uważali za właściwe, ograniczyć ją do dni piętnastu. Słuszna rzecz! ale zkądże ta pretensya pisać książkę o krajach, których się z wierzchu nawet nie obejrzało, gdyż droga najczęściej wypadła nocą. Szczęściem przynajmniej że księżyc był w pełni. „Góry i wieże miast, mówi autor, oblaue srebrnym blaskiem, fantastyczny przedstawiały obraz, stokroć piękniejszy niż pod skwarnym lipcowego słońca płomieniem!”

Wychowanek bruku paryżkiego, nie lubi ani wody, ani gór, ani lasów, same tylko miasta mają dla niego urok; w nich bowiem ześrodkowane życie ludów, uderza silném tętneem: reszta nie zasługuje na uwagę.

Pierwszy etap wypadł oczywiście w Baden Baden. Jakże tu opuścić to wytworne przedmieście Paryża? jak nie być na kauce, nie przyklasnąć panuie Rozie w ary Alicyi? jak nie spróbować szczęścia za zielonym stołem? Kto wie! gdyby *czerwony kolor* dopisał, możeby autor rozszerzył ramy podróży, i obdarzył nas nowym obrazem Bosforu i Dardanelów. Niestety! inaczej się stało. *Czerwony* chybił! ta to zapewne okoliczność, odcięła piętnaście dni z zamierzonej przejażdżki.

Podróżni nasi jednym tchem pędzą do Monachium. Autor w złym humorze; drażni go chrapanie towarzyszy, drażni go chmura której podobało się zasłonić księżyc i rzucić mrok na malownicze krajobrazy. Przykre wspomnienia z Baden Baden, złe działają na umysł Paryżanina, pod ich wpływem Monachium nie budzi w nim zachwyty. Zwiedza sławną Pinakotekę; ze wszystkich nagromadzonych tu cudów sztuki, zauważył tylko *blekitną sukienkę Dürera*, i jakiś obraz Memlinga który zbywa ogólnikiem, mówiąc że „prawdziwie Edeniczny.”

W Monachium jarmark. Tłumy ludu zdążają śpiewając pieśni narodowe. Jakież tu pole do spostrzeżeń etnograficznych! Autora wcale to nie obchodzi. Wsiada jednak do powozu, każe się wieźć na plac targowy. Tu ogląda woskowe figury wystawione pod szopą, przygląda się Dioramom, wyobrażającym pola bitwy, gdzie Bawarzy „dzielnie bili Prusaków.” O żywym ludzie ani słówka, zabrakło czasu, bo jakże być w Monachium, a nie zobaczyć spiżowego kolosu Bawaryi? Autor pospiesza tam, wdziera się po krętych wschodach, z dumą dochodzi do szczytu, patrzy na miasto przez okienko, a raczej przez oko; spoczywa na ławeczce w niszy, która nie jest czem inném jak nosem olbrzyma. Zajrzał do serca i do głowy Bawaryi, a nie odgadł że one Dioramy którym się przed chwilą przyglądał, wnet znikną w obec nowych, na których Bawarzy wystąpią za pan brat obok tych dziś tak nienawistnych Prusaków.

Spieszmy z autorem do Salzburga. Podróż wypada nocą. Księżyc otrząsnął się z chmur i świeci pełnym blaskiem. Autor zachwycony. Noc ta przypomina mu Szekspirowską fantasmagoryę. Śny elizejskie przenoszą myśl jego w dziedzinę ideału. I cóż tak porywa wyobraźnię poety? Czy księżyc? Bynajmniej—to rzecz powszednia! Oto miliony iskier wytryskujące z komina lokomotywy. „Jaka w tym kominie leżała tajemnica—mówi z całą naiwnością—odgadnąć nie potrafię; to tylko wiem: że przez trzy godziny deszcz ognisty spadał na wagony, co sprawiało niewystłowny urok.”

Gdyby autor umiał po niemiecku, zapytałby konduktora, a ten jedném słowem wytłumaczyłby fenomen owego tajemniczego komina, zapalonego drzewem zamiast węgla. Pozostał jednak w niewiadomości, a raczej w miłym złudzeniu, że lokomotywa łamiąc na cześć jego prawa przyrody, wyprawiła tak cudowną iluminację!

W Salzburgu, dokąd przybył o północy, opisuje dramatycznie walkę o miejsce w omnibusie, stoczoną z tyrolskimi strzelcami. Zwinni Francuzi pokonali Tyrolów, zdobyli miejsca szturmem, a tak dostali się do miasta, inaczej byłiby zmuszeni przepędzić noc pod gołym niebem.

Rzecz dziwna! znamy wybornie Salzburg. Tuż przy kolei, jest tam przepyszny hotel, do którego dostać się łatwo bez omnibusu.

W mieście znów walka; trzeba wstępnym bojem zdobywać pokój. Tyrole tłoczą się hurmem; był to czas pamiętnego ich zebrania w Wiedniu przed dwoma laty.

Nucąc aryę z Don Juana, na cześć Mozarta zrodzonego w Salzburgu, autor równo ze dniem przebiega z towarzyszem miasto; zachwyca się pięknością widoków; zachwyt to konwenyonalny; chwali Salzburg, bo go tysiące zachwalało przed nim; porównywa go do Edyburga, bo tysiące Anglików porówny-

wało go z tym szkockim grodem. Z owych czczych pochwał trudnoby jednak domyśleć się jak wygląda ów uroczy Salzburg. O Alpach ani wzmiauki, autor zapowiedział że nie lubi gór; zkądże te uniesienia nad miastem, które Alpom winno jedynie piękność swoją?

Wartoby odwiedzić sławne saliny, lecz na to niema czasu! Wiedeń pociąga silnie Paryżanina. „Wiedeń—powtarza z zapałem—cały świat zaklęty w tém słowie! Wiedeń, tak silnie spleciony z losami Francyi; ojczyzna Maryi Teresy! Maryi Antoniny! Maryi Ludwiki! pole walk dyplomatycznych Metternicha i Tayleranda!—a co więcej, Wiedeń słynny z wdzięków niewieścich—jeszcze europejski, a już opromieniony brzaskiem Wschodu!”

Pociąg zatrzymuje się w Linz. Autor przypomina sobie, że jeszcze w Paryżu radzono mu opuścić w Linz kolej żelazną, a popłynąć do Wiednia Dunajem. Nie idzie jednakże za radą. Szkoda czasu! a potem wyrozumował sobie, że skoro Dunaj tak ciekawy, lepiej poglądać na brzeg jego siedząc w wagonie, aniżeli z Dunaju przypatrywać się brzegom. Tak samo podróżował dawniej nad Renem, i poznał go jak mówi *doskonale*. Zapomniał snać o przekopach i tunelach, które w miejscach najpiękniejszych zasłaniają zupełnie widok. To co widział, było mu dostatecznym; miał prawo powiedzieć: „Zwiedziłem brzegi Renu.”

W Linz wspomina cesarza Leopolda, który przebywał tu podczas gdy Turcy zdobywali stolicę; przypomina główną kwaterę Napoleona, po zwycięstwie pod Wagram.

„Sądziłby kto—mówi naiwnie—że mi te wspomnienia same nasunęły się na myśl. Miałżebym czém zaprzętać sobie głowę? Towarzysz mój wziął z sobą książkę Joanna; zajrzałem do niej; oto źródło mojej erudycyi.”

Zapadła noc, księżyc zaszedł za chmurę. Dunaj co chwila odbiegał od drogi, i znów się do niej zbliżał. Chybiła nadzieja przypatrzenia się rzecze, którą Hugo nazwał królewską! Lecz Dunaj nie przepadnie; autor zobaczy go jadąc z Wiednia do Pesztu.

Otóż i Wiedeń—to wymarzone miasto! Zobaczymy jak autor spędzi trzy dni w jednej z pierwszych stolic europejskich? Wprawdzie trzecia część książki poświęcona na skreślenie odebranych tu wrażeń, lecz jakież to wrażenia! Główną ich treścią podziw nad ciemnotą Niemców że nie umieją po francuzku; skargi na barbarzyńskie łóżka niemieckie, na kuchnię tak odmienną od paryzkiej!

Pierwsze odwiedziny do Tumu Stefańskiego, bo wszyscy od niego zaczynają; ale czemże on w obec Notre Dame! w obec Strasburskiego Ministeru—mówi turysta pogardliwie; wdziera się jednak na wieżę; ogarnia z niej okiem wyżyny Kahleberga; przypomina jak około dwieście lat temu, zastępy Kara-Mustafy obległy gród, i byłyby deptały po nim zwyciężką stopą, gdyby nie bohaterska odsiecz Sobieskiego.

Podróżnik francuzki wyczytał to zapewne w Joannie, bo jak widzieliśmy nie zwykł tracić czasu na historyczne badania. A przecież tem oddaniem czei zasłudze, o ileż się wyższym okazał, od owych burszów niemieckich, którzy kilka tygodni temu, w dniu paniętnej rocznicy, piorunowali z wyżyn Kahleberga na obcych, że się sprzysięgli przeciw Niemcom. Kiedy jedni wydarli im Alzację i Lotaryngię, drudzy śmieli przywłaszczyć sobie chwałę z obrony Wiednia! Sobieski mówił oni—przybył już po wszytkiemi! Wprzód książę Karol Lotaryngski na czele Sasów i Bawarów pokonał Turków i oswobodził miasto. Cała czynność Sobieskiego ogranicza się na złupieniu obozu Kara Mustafy!

Skorosmy dotknęli tego smutnego przedmiotu, dodajmy: że mieszczaństwo wiedeńskie wcale nie podziela takiego zdania ultrasów pangermańskich i wraz z całym kościołem, składa w tym dniu dziękczynne modły Panu Zastępów, że ramieniem Sobieskiego ocalił chrześcijaństwo.

Wróćmy do naszego Paryżanina. Patrzy z podziwieniem na dzwon ulany z działa tureckich i zapytuje czy to prawda że gród taki jak Wiedeń mógł być obleżony i to w czasach niedawnych... ledwie przed dwustu laty? W oczach jego to sen, to fantasmagorya! Takie gwałty zdarzały się w czasach Troissardów i Commingów, ale dziś to prawdziwy anachronizm!

Radzibyśmy wiedzieć co biedny Paryżanin mówi na dzisiejszy anachronizm spełniający się pod murami Paryża.

Nie myślimy wcale chodzić trop w trop za autorem w jego trzydniowej peregrynacji po Wiedniu. Powiemy tylko że widział Prater, który w oczach jego nie wart Pól Elizejskich, na co i my zupełnie się zgadzamy, że był na przedstawieniu księżnej de Geroldstein, w piwiarni Drehera, koncercie popularnym Straussa. Dziwi się bezmyślniej wesołości Wiedeńczyków, gdy jeszcze nie oschła krew na polach Morawii. Słuszna to uwaga! i my dziś podziwiamy tę radość z jaką prasa wiedeńska w stu organach swoich głosi tryumfy niedawnych bohaterów Sadowy!

Nie pominął nasz turysta żadnej osobliwości Wiednia. Za powrotem do Paryża powie śmiało: byłem w Burgu cesarzew i w grobach kapucyńskich; widziałem trumnę Maryi Teresy, i trumnę Maxymiliana świeżo sprowadzoną z Meksyku; widziałem arcydzieło Canowy Mauzoleum arcyksiężniczki Krystyny u Augustyanów, i rękopism Tassa w bibliotece, i sławne Velasquezy w Galeryi Belwederskiej; ale niech kto zażąda bliższego objaśnienia tyłu widzianych przedmiotów, wykreśli się z ręcznie pokrywając szumem słów sąd niedowarzony i płytki.

Wyjechał nakoniec do Pesztu. Tu jest żart posunięty za daleko. Od bram Wiednia uderza go świat nowy; czuje wyraźny powiew *Wschodu!* *Pomiędzy Presburgiem a Pesztem widzi o czornym pomroku, rozległe stepy, istny ocean falujący trawą, a na tym oceanie pasące się wielkie gromady owiec, których pilnują konni pasterze w wysokich butach z ostrogami.*

Domyślamy się że Paryżanin zasnął w wagonie, i że przed oczyma jego przesuwają się jakieś idylliczne obrazy, bo przecież sławna Puszcza maliarska, ciągnie się dopiero od Pesztu do Debreczyna, pomiędzy Dunajem a Cissą, a i tam nawet *juhasy* nie jeżdżą konno za owcami. Znać poplątał z nimi *Czykosów*.

Na zwiedzenie Pesztu i Budy, poświęcił *dziesięć... godzin!* Z tych dwie zeszło na pisaniu listów do Paryża, na których urząd pocztowy miał wycisnąć napis *Peszt*, tryumfalny dowód pobytu w mieście Korwinów i Kossutów! Drugie dwie godziny zeszło na wyszukanie pięknych bramowanych czamarek, i butów z wielkimi ostrogami! Pozostało godzin sześć na obejście powozem celniejszych ulic Pesztu, i na obejrzenie sławnej Budy wydeptanej stopami Ottomanów, która w oczach autora wygląda na stare cementarzysko. Czego nie miał czasu zobaczyć, dopełnią jak mówi fotografie i stereoskopy w które się hojnie zaopatrzył.

Poprzestajemy na tem. Czytelnik zapyta nas może, dlaczego tak długo zatrzymujemy się nad taką książką? Oto dlatego, że ona tak wydatnie charakteryzuje tę ujemną stronę, naukowego wychowania młodzieży francuzkiej, przeciw któremu silnie powstawał były minister oświecenia Duruy. Szkoły specjalne jak wiadomo wysoko stoją we Francyi, ale geografia i historia obcych narodów, wykładana była dotąd z niesłychaną niedbałością. Równie zaniedbane i obce języki. Ta pogarda ku wszystkiemu co obce, tak daleko sięga, że w ambasadach francuzkich przy zagranicznych dworach, trudno znaleźć urzędnika wyższego, któryby znał język miejscowy. Używają do pośrednictwa drogmanów tak samo w Berlinie, Wiedniu i Monachium jak w Konstantynopolu i Pekinie. Zbyt późno Francuzi zwrócili uwagę na taki niedostatek. Nim nowy zwrot wskazany przez ministra Duruy wydał owoce, gorzko Francya opłaca dziś tę pogardę geografii i historii sąsiednich ludów!

Skargi nasze tyczą się wyłącznie niedostatecznego wykładu po szkołach. Któż bowiem nie wie z jaką wytrwałością i przeczornością uczeni francuzcy badają gałęzie specjalne jakie sobie obrali? Z pomiędzy znajomych naszych, przypominamy sobie zmarłego niedawno Viquesnela, który pisząc pomnikowe dzieło o Turcyi i o Słowiańszczyźnie, zarzucał listami wszystkich niemal uczonych świata, gdy szło o wyjaśnienie jakiegoś wyrazu, jakiejś daty lub cyfry statystycznej. Podziwialiśmy nie raz tę niezmordowaną cierpliwość, którą dziś w ogólnem mniemaniu sami Niemcy odziedziczyli po benedyktynach. Ktokolwiek wpatrzy się bliżej w prace dzisiejszych uczonych Francuzów, musi przyznać, że i oni wzięli znakomitą puściznę po kluniackich ojcach swoich. Nie owi to uczeni, ale tacy dyletanci literacy jak autor dziełka o Austrii, ściągnęli na cały naród zarzut lekkomyślności, onito w wielkiej części są powodem kłesk które dziś tak ciężko dotykają Francją! Wyższe umysły spostrzegły niebezpieczny kierunek, niestety! spostrzegły go zapóźno. Wypadki nie

czekały! Wątpię jednak o przyszłości byłoby największą niedorzecznością. Dla narodu pełnego sił żywotnych, same klęski stają się nowym bodźcem do odrodzenia. Owe 150 tysięcy Francuzów rozrzuconych dziś po całych Niemczech, za powrotem do kraju, przyniosą mu więcej pożytku niż go przyniosły upojone tryumfami Napoleona I. Już nie same jak dotąd jednostki, ale całe masy, uczują potrzebę nowych reform w wykładach szkolnych a szczególnie w wydziale geografii, języków i historii obcych ludów. W obec prawdziwego postępu umilkną owi tak dziś liczni we Francyi zarozumialce, którzy z taką pogardą ośmielają się sądzić obce narody i kraje, jak autor dziełka o *Austrii*.

Nowe publikacye w Paryżu są dziś prawdziwą osobliwością. Do tych policzymy ciekawą książkę pani William Monode p. t. *Missa kobiet w czasie wojny*. Autorka nie bawi się czczą deklamacją, ale przytacza prawdziwe wypadki, przypomina wielkie poświęcenie; aby rozbudzić serca czytelniczek i dobyć z nich energią w chwili stanowczej, opowiada co kobiety uczyniły dla ludzkości za wielkich wojen bieżącego stulecia od Marengo aż do Sadowy.

Pięknie tu skreślony obraz siostry Marty z Besançon, bohaterki pierwszego cesarstwa. Była ona prawdziwą matką więźniów i rannych! w ciągu kilku miesięcy, pozbawiona wszelkich zasobów, karmiła i opatrywała tysiące nieszczęśliwych. Własną rękoma przyprawiała i rozdawała dziennie do 234 wiader zupy! Nieraz oddawała żołnierzom własne obuwie, sama zaś kaleczyła nogi chodząc boso. Wiele kobiet w chwili uniesienia, gotowe zapewne zdobyć się na podobne ofiary, ale czém szczególniejszą świecą postać siostry Marty? Oto wytrwałością w poświęceniu! wytrwałością!... tym dzielnym wyrobem woli, tą najwyższą zdobyczą ducha ludzkiego, bo jak pięknie wyrzekł poeta:

Ózemże jest świętość—jak nie wiecznym trwaniem,
Wiecznym natchnieniem—i wiecznym Kochaniem!

Otóż siostra Marta przeżyła siedmnaście pięć lat w zupełnym zapomnieniu o sobie; w czynnej miłości bliźniego, podsycającej wytrwałą wolę! Ta bohaterka nie umiała czytać ani pisać! „Potrzeba kochać Boga w znoju i pocie czoła!” W tych słowach co dnia przez nią powtarzanych, leży cała tajemnica jej mądrości.

Autorka wspomina potem zasługi młodej Angielki panny Nichtingale, która podczas kampanii krymskiej służyła ziomkom z prawdziwie chrześcijańskim poświęceniem. W początkach wojny choroba wkraśliła się do obozu. W ciągu pierwszego półrocz

na 100 żołnierzy umierało sześćdziesięciu; tymczasem w drugim półroczu śmiertelność znikła, dzięki zaprowadzonym przez pannę Nightingale reformom po szpitalach.

Anglicy wdzięczni młodej rodaczce, u której serce szło na równi z intelligencją, okazali wdzięczność prawdziwie po angielsku. Zebrałi sposobem składkowym 750,000 franków, i tę sumę złożyli w jej ręce. Panna Nightingale lubo nie zamożna, nie przyjęła pieniędzy dla siebie, ale przeznaczyła je na fundacyą zakładu dla kształcenia dozorezyń (*gardes-malades*).

W wojnach włoskiej, niemieckiej i amerykańskiej, autorka wspomina liczne poświęcenia kobiet, mianowicie pani Simon. „O wielu z nich—mówi—świat nigdy nie słyszał i słyszeć nie będzie; bo miłosierdzie kobiety, to owa delikatna roślina, co kwitnie tylko w cieniu. Wystaw ją na promień słoneczny, a zwinie listeczki i zwędnieje.”

Autorka szydzi dowcipnie z tych *wielomównych* opiekunów, którzy niosąc pomoc lubią prawie niewczesne kazania. W *Harrisous-Landing* w Ameryce zebrano z pola dwudziestu pięciu rannych; urzędowi infirmerzy komisji sanitarniej obmyli im nogi, zmienili odzież, powiedzieli perorę, a nakoniec przystąpili do rozdania im chłodzącego napoju.

— Oh! to lepsze daleko niż słowa!—zawołali biedni ranni.

Infirmerzy pamiętali naukę.

W dziełku tém spotykamy co chwila sceny obozowe pełne życia i barwy, jakby pochwycone na gorącym uczynku. Wybornie oddany pochod wojska, żywiej jeszcze chwila popłochu. Po mistrzowsku skreślona straszna scena po bitwie, gdzie kobieta występuje już nie w roli opiekuńczego anioła, lecz piekielnej harpii. Powtarzamy tę scenę acz ze wstrętem.

Było to w Niemczech r. 1866. Noc zapadła... nie uprzątnięto jeszcze trupów. Cienie jakieś krążą tu i tam... to się pochyla, to wstają znowu... coraz ich tu więcej a więcej!.. Pokryły całą przestrzeń... wyrastają niby z pod ziemi. To godzina obłowu. Tłumy maruderów przebiegają parowy, zaglądają w każdą kotlinę... w każdy rów... w każdy wypróchniały pień drzewa... Biada temu kto wpadnie w ich ręce! Patrole i widety nie dość silne aby stawić im czoła... Rzucają się na trupów... odzierają z nich suknie... nagie ciała zwalają na kupy!.. Niech przypadkiem zabłyśnie im pierścień... niema czasu się bawić!.. odrąbiają go z palcem, choćby od ręki drgającej krwią ciepłą!.. Biada temu kto spojrzy im w oczy! To niebezpieczny świadek... umilknąć mu na wieki!

Na skraju lasu leży młody oficer, lekko raniony w głowę. Omdlał... zostawiono go w pośród trupów. Maruderka przystępuje do niego. „Zobaczmy czy cię warto rozebrać—rzecze półgłosem, i wsuwa mu rękę w zanadrze. „Dobry początek!”—woła uradowana wyciągając pugilares. Ale uczuła w sercu słabe tętno.

„Ha! żyjesz mi jeszcze, zasyczy z piekielnym śmiechem, leż cicho dopóki nie skończę!”

Nieszczęśliwy ocknął się, spojrzął na furę, błaga o pomoc przyrzeka nagrodę...

Jeszcze mówił, gdy coś zimnego przeszło mu po twarzy, w głowie uczył straszny ból... krzyknął okropnym głosem... ogarnęła go ciemność... fura wydarła mu oczy.

„Gotów nas kto obwinie o przesadę—dodaje autorka. Ofiara tej straszliwej przygody żyje po dziś dzień w Niemczech.

Nie oddalając się od życia obozowego, dajemy tu w skróconym przekładzie scenę dramatyczną Manuela, odgrywaną w Paryżu na korzyść ambulansów, dopóki był teatr w Paryżu! Tytuł sztuczki: *Dla rannych*. Rzecz dzieje się w ohacie służącej za ambulans. W głębi na tarasie chorągiew biała z krzyżem czerwonym. Bliżej łóżko obozowe, dwa krzeselka i stolik. Młody oficer francuzki leży pokryty płaszczem wojskowym. Przy nim krzesło mundur i szpada. Młoda kobieta, ubrana jak infirmerka z krzyżem czerwonym na piersi, stoi u wezłowania.

KOBIETA.

Śpijże biedny żołnierzu, śpijże jeszcze chwilę!
Tyś w szalonej gorączce przecierpiał dni tyle;
Oh! czy ty wiesz jak twoje bolały mnie rany!
Lecz przyniosłam ci ulgę, tyś uratowany.

(przygląda się z zajęciem).

Budzi się... nie!..

(słucha).

Cóż mówi... nie rozumiem słowa,
Puls jego tak spokojny, taka chłodna głowa!
Pomnę, kiedy biedaka wniesiono w te progi
Ledwie duch w nim kołatał... drzę jeszcze od trwogi!..
I kiedyż ja, mój Boże w moc serce uzbroję,
W obec mordów spełnionych w święte Imię Twoje!
Złożono go na słomę, zbliżyłam się z cicha;
Straszny był... w krwi starzany... pierś ledwie oddycha.
Przywalon stosem trupów przeleżał noc całą,
Do posług już sił naszym i czasu niestało!
Okropnaż to posługa! wśród trupów tysiąca
Wysłuchiwać się gdzie słabo uderza pierś drżąca.
Biedny! kula głęboko utkwiła mu w łonie,
Lecz słabiuchna iskierka jeszcze w sercu płonie;
Patrzę w oczy lekarza... on wiary nie traci,
Cudowna moc nauki! ależ tylu braci
Na pomoc biegnącej ręki niecierpliwie czeka;

Gdy oko jego czuwa nad chorym zdaleka,
 Niechże ktoś u wezglowia schylon dniem i nocą,
 W każdej chwili rannemu pospieszy z pomocą.
 To zbliży do ust napój, gdy spragniony woła,
 To uniesie poduszkę, to pot otrze z czoła.
 To w bólu słodkim słowem doda mu podniety.
 Oto walk naszych pole! tu tryumf kobiety!
 Nie same rany ciała nam goić przystało,
 Lecz kojący lać balsam na duszę zbolałą.
 Mówić tym o nadziei, o Bogu, o niebie,
 Których ziemia w swém łonie może dziś pogrzebie;
 Kiedy śmierć im na czole blade piętno znaczy,
 Błogosławioném słowem ustrzedz od rozpaczy!
 (*chwila milczenia*).

RANNY *półsennie*.

Daj mi pić!..

KOBIETA *podając mu kubek*.

Oto woda.

RANNY *ukazując bok*.

Jakież cierpię męki.

KOBIETA:

Płaszcz ci pewnie dolega? usuńmy go.

RANNY.

Dziękil!

Wzrok mi razi to światło.

KOBIETA *spuszczając firankę u okna*.
 Tak lepiej ci może?

RANNY.

O lepiej!.. Chciałbym pisać do matki... Mój Boże!
 Biedna ona! w tej chwili widziałem ją we śnie:
 Daj mi papier i pióro!

KOBIETA.

Dziś jeszcze za wcześnie,
 Ja za ciebie napiszę, podyktuj mi słowa;
 Każde twoje życzenie jam spełnić gotowa.

RANNY.

Ty, siostrzo!

(*otwiera oczy*).

Któż ty jesteś? co ten ubiór znaczy?
Wszak siostry miłosierdzia przywdziane inaczej,
Pomnę, z czołą nieraz czoło chyliłem przed nimi.

KOBIETA.

Ich zastęp dziś nie starczy; więc siły wspólnemi
Lubo z światem związane spieszymy oboczo.
Służyć mężnym, co z piersi strumienie krwi toczą;
Dogłądać ich w chorobie, nieść osłodę w bólu,
To nasz znak... patrz... czerwony krzyż na białém polu.

RANNY *z podziwieniem.*

Was-że widok nędz ludzkich, was śmierć nie ustrasza?

KOBIETA.

Francya tego żąda, to powinność nasza!
(Następuje scena liryczna. Ranny ożywiając się coraz bardziej, opowiada jak padł ugodzon kulą).

RANNY.

Na polu trup przy trupie, jak trawa zsieczona,
Bruzdami z pluskiem płynie, powódź krwi czerwona;
Kilku drogich przyjaciół padło pod moim bokiem,
Nie czas płakać!... pułk naprzód mknie rączym poskokiem.
Pędzim w ował przez ogrody, rowy, zgorzeliska,
Dym wygryza nam oczy, po krwi droga śliska,
Byłem głodny, spragniony, zbieram sił ostatki:
Na sercu miałem portret ukochanej matki.
Myślałem właśnie o niej, gdy z stodółki małej
Błysło mi straszno w oczy, rozległy się strzały;
Padłem na wznak plecyma przyparty do płota;
Aż tu nagle z zasadzki wyskoczy piechota,
Zrywam się, bom posłyszał głos trąbki tak znany:
Daremnol krew gorąca wybucha mi z rany,
Zaszumiało coś w uszach, w zrenicach mi ciemno
I odtąd, już nie pomnę co się stało ze mną.

(Ranny błogosławił troskliwą opiekę kobiety która dnie całe czuwa u jego wezgłowia. Nagle przychodzi mu na myśl własne jej niebezpieczeństwo. Błaga aby się oddaliła z tych miejsc strasznych, gdzie nieprzyjaciel uderzy lada chwila).

RANNY.

Uciekaj, póki pora.

KOBIETA *spokojnie.*

Próżne twe obawy...

RANNY z naleganiem.

Jutro tu lub dziś jeszcze nastąpi bój krwawy,
Nieprzyjaciół ztąd blisko. O! nie zwlekaj dłużej;
Gdy pomnę co cię czeka, krew we mnie się burzy!

(słychać strzał).

Czy słyszysz? uchoż spiesznie!

(nowe strzały).

Znow! uchoż co żywo.

To wojna, wróg cię gotów zszarpać ręką mściwą.

(strzały powtarzają się)

Zapóźno już, niestety! Zostań... bądź spokojna!..

Jam zdrow, ja cię obronię!..

(Zrywa się, zarzuca płaszcz, chwytając szpadę, lecz bezsilny opiera się o krawędź łóżka).

KOBIETA.

Nie trwoży mnie wojna.

Twój stan jedynym tylko powodem mój trwogi.

Nikt stopą świętokradzką nie wkroczy w te progi,

Ten krzyż na białym polu bezpieczną mi strażą;

Ręce krwią ubroczone tknąć go się nie wazą.

Siądź tu... dłonie twe płoną i twarz dziwnie blada,

Daj słowo, jeszcze w pochwie niech spocznie ta szpada.

(Zmusza rannego aby usiadł na łóżku, poczem zabiera się do wyjścia).

RANNY.

Jakto? już mnie opuszczasz!

KOBIETA.

Tam może ktoś drugi

Dziś pilniejszój odemnie wymaga posługi.

RANNY.

Powiedz choć imię twoje, błagam cię na Boga!

KOBIETA.

Na cóż ci o niem wiedzieć?

RANNY.

Niechże matka droga,

Jeśli kiedyś to imię z ust syna posłyszysz

Z błogosławieństwem niebu zasyła je w ciszy.

KOBIEȚA.

Próżno żądasz, tu imię nie rzeczy nie zmienia,
 Miłosierdzie niech w czynach żyje bez imienia.
 Bóg mnie znał On modlitwy nie odrzuci szczerój,
 Nie zstępujemy z wysokiej ideału sfery;
 Ty cierpisz, ja uzdrawiam, to święte ogniwo
 Dziś serca siostr i braci połączy tak żywo.

W dniu 17 września zmarła w Dreźnie księżniczka Amelia siostra panującego króla saskiego, urodzona w roku 1794. Należała ona do grona najświetlejszych kobiet w Niemczech. Wojna od związków małżeńskich, życie całe poświęciła naukom, liczne podróże znakomicie téż wykształciły jój umysł. W roku 1829 wystąpiła po raz pierwszy na widownię literacką pod pseudonimem Amelii Heister. Dwa jój dramata wierszem *Dzień koronacyjny* i *Mesru*, do których przedmiot zaczerpnęła z dziejów wschońnich, odegrane były w Dreźnie, z nie małym powodzeniem. W roku 1833 posłała tajemnie do Berlina komedye: „Lüge und Wahrheit (Kłamstwo i prawda). Tu tryumf jój był prawdziwy: publiczność berlińska z zapalem przykiasnęła sztuce, nie domyślając się imienia autora. Inne dramata i komedye księżniczki: *Stryj*, *Oblubienica księcia*, *Narzeczoną z miasta stołecznego*, *Gospodarz wiejski*, *Pierścień ślubny*, *Opiekun*, *Kuzynek Henryk*, *Wiejska panna*, *Majorat* i wiele innych, ukazywały się z kolei na wszystkich niemieckich teatrach. Oprócz tego pisała zręczne libretta do oper i religijnych oratoryów. Wszystkie jój utwory tak wierszem jak prozą, zalecają się prawdziwie artystycznym smakiem; większą ich część przełożono na język francuzki.

Kraków, 22 października 1870 r.—W tych dniach wyszło w Wiedniu dziełko w języku niemieckim, p. t.: *Zwei Polen in Weimar (1829). Ein Beitrag zur Göthe-literatur, aus polnischen Briefen übersetzt und eingeleitet, von Th. Bratranek*. Jestto tłumaczenie „Listów z podróży” Antoniego Edwarda Odyńca, umieszczanych w *Kronice Rodzinnj*, a opisujących pobyt jego i Mickiewicza w Weimarze, podczas obchodu ośmdziesięcioletniej rocznicy urodzin Göthe’go w r. 1829. Tłumacz książd Bratranek, augustyanin, rodem z Morawii, professor w uniwersytecie Jagiellońskim, wykłada literaturę niemiecką od lat dwudziestu i wciągu tego czasu był rektorem. Wydał między innemi: „Aesthetische studien”, „Aestetik der Planzen” i wiele rozpraw odnoszących się do życia, pism i wpływu Göthe’go. Przekładał także poezye W. Pola, i pisywał sprawozdania z ruchu literatury polskiej.

Nie tylko jest umiętym i gorliwym zbieraczem tego wszystkiego, co się odnosi do Göthe’go, ale zostaje z jego rodziną w Wej-